

Konsekwencją nauki języków powinna być ich znajomość, zwłaszcza ta praktyczna i praktykowana. Dlatego nadal zajmując się naszymi tytułowymi językami obcymi w szkole, zapraszamy do lektury i współtworzenia nowego działu naszego czasopisma: *Języki obce po szkole*, czyli po prostu w życiu. Kiedy i jak używamy poznanych języków? Co nam zostaje ze szkolnej (i nie tylko) edukacji językowej? Co się przydało i przydaje (albo i nie)? Czego nie było warto się uczyć i dlaczego? Jakie sposoby nauki okazały się skuteczne? Komu i czemu zawdzięczamy swoje sukcesy językowe? Jak znajomość języków wpłynęła na nasze życie prywatne i zawodowe? – to zaledwie garść pytań zachęcających do refleksji. Zapraszamy do przeczytania pierwszego inspirującego tekstu o językach obcych po szkole!

Języki po szkole i znowu w szkole

AGNIESZKA STRYJECKA

Kiedyś nie zaczynało się nauki języka obcego w przedszkolu ani nawet w pierwszych latach podstawówki. Na pierwszą lekcję języka obcego musiałam czekać do piątej klasy – wtedy w planie zajęć pojawił się język rosyjski. Ileż było uciechy z tego, że można mówić i pisać inaczej, niż człowiek do tej pory umiał! Następnie przyszła kolej na angielski, a później na niemiecki. W moim liceum klasa z rozszerzonym językiem niemieckim to było siedem godzin niemieckiego tygodniowo w klasie dzielonej na dwie grupy! Po prostu luksus! Z liceum wyniosłam świetne podstawy gramatyki, bogate słownictwo, swobodę i przyjemność w posługiwaniu się językiem niemieckim oraz świadomość, ile jest jeszcze pracy, żeby dojść do prawdziwego opanowania języka.

Studia filologiczne (najpierw germanistyczne, później polonistyczne) to także pierwsze spotkanie z łaciną. Co za rozczarowanie! Język, który nie służył do mówienia, nie zachwyił mnie. Nie przekonywały mnie tłumaczenia, że łacina pozwala odkryć strukturę języka, że daje narzędzia poznawania różnych języków, że wprowadza porządek myślowy. Nie dało się rozmawiać po łacinie, czyli łacina była do niczego. Po prostu przedmiot do zaliczenia.

Po studiach trafiłam do szkoły podstawowej jako pani od polskiego i wychowawczyni. Przeznaczenie upomniało się o mnie w wakacje na początku lat dziewięćdziesiątych, posługując się moją koleżanką, która rzuciła pewnego dnia: „A nie pouczyłabyś cudzoziemców na naszym kursie letnim?”. Powiedziałam, że pouczyłabym, i tak odkryłam nowy język obcy! Język polski, który w oczywisty sposób był obcy dla początkujących uczestników szkoły letniej na KUL-u, okazał się pod wieloma względami obcy dla mnie – Polki, absolwentki polonistyki, nauczycielki polskiego w szkole. Żeby uczyć cudzoziemców polskiego i robić to skutecznie, potrzebowałam narzędzi, o których istnieniu nie miałam pojęcia! Że można się podeprzeć angielskim – jasna sprawa, wystarczy, żeby studenci go znali. Lepiej jednak, żeby lekcja polskiego nie przerodziła się w konwersację z angielskiego. Tworzenie porcji na tyle małych, żeby były przyswajalne, na tyle dużych, żeby były ciekawe, na tyle urozmaiconych, żeby dotykały i wymowy, i gramatyki, i słownictwa, to wielkie zadanie. W dużej części ułatwiają je podręczniki do nauki języka, ale do polskiego nie było wtedy wielu podręczników, więc nauczyciele przygotowywali samodzielnie sporo

materiałów. Trzeba spojrzeć na swój język ojczysty obcymi oczyma, niejako przewrócić go na lewą stronę i postawić do góry nogami, żeby być sprawnym przewodnikiem dla poznających go cudzoziemców.

Dla cudzoziemca problemem jest to, co każdy rodzimy użytkownik uznaje za oczywiste, i właściwie tego nie zauważa, a przed cudzoziemcem otwierają się nowe światy i to ja jestem po nich przewodnikiem. Anioł Stróż, który prowadzi dzieci po drewnianym mostku nad wezbraną rzeką – to obraz, który widzę, kiedy myślę o sobie i swojej pracy.

Spodobało mi się. Nabrałam ochoty na uczenie polskiego jako obcego w pełnym wymiarze, nie tylko w wakacje. Było wówczas wolne miejsce lektora w Rumunii, na Uniwersytecie Babeş-Bolyai w Klużu. Nikt ze znajomych nie wiedział właściwie nic o Rumunii. Z moją znajomością tego kraju też nie było lepiej.

Uniwersytet przygotował dla lektora języka polskiego kawalerkę w bloku składającym się z 400 kawalerek, odległym od wydziału o 40 minut marszu. Zakupy, zamówienie rozmowy międzynarodowej, odebranie listu na pocztę – wszystko wymaga znajomości języka rumuńskiego. Dziwnie się czułam, kiedy na pytanie o drogę, odpowiadałam, że nie mówię po rumuńsku. Tym bardziej że pytanie rozumiałam – rumuński to język romański i zasoby akademickiej łaciny w końcu do czegoś się przydały. Kiedy jednak przechodnie zadawali mi pytania po węgiersku, to nic już nie można było zrobić – nie rozumiałam zupełnie nic. Nauczyłam się w końcu mówić po węgiersku, że nie mówię po węgiersku, i tyle. I często musiałam to zdanie powtarzać, bo Kluż jest miastem zamieszkałym przez liczną mniejszość węgierską.

Po zajęciach w katedrze sławistyki spotykałam się z profesorem – sławistą z Czech, który rozumiał mnie, kiedy mówiłam po polsku, i starał się odpowiadać po polsku, choć czasem było bardziej po czesku, ale w końcu niech się na coś przyda podobieństwo między językami słowiańskimi. Jednak z koleżanką z katedry, Węgierką, już się to nie udawało, pozostało mi więc sięgnąć po mocno zaśnieżone narzędzie, czyli po język rosyjski. Po raz pierwszy w życiu używałam rosyjskiego nie na lekcjach w szkole, ale po prostu do rozmowy, do plotek, do opowiadania dowcipów. Nigdy nie myślałam, że rosyjski mi się przyda do czegoś poza szkołą – a tu taka przyjemna niespodzianka.

Często się mówi, że języka najlepiej uczyć się w kraju, w którym ten język jest używany, rozmawiając z jego rodzimymi użytkownikami. Jednak w praktyce samo osłuchanie się z językiem, tylko konwersacje bez podstaw gramatyki – to bardzo długa i męcząca droga. Dwa lata spędziłam w Rumunii, mieszkałam tam, spotykałam się z sąsiadami, wymieniałam z nimi grzeczności i tłumaczyłam, dlaczego trzymam psa w domu, a nie w krzakach wokół bloku, robiłam zakupy w sklepach i na targu, odbierałam listy na poste restante, podróżowałam – w większości sytuacji posługiwałam się „podłapanym” w tych samych okolicznościach językiem rumuńskim i zyskałam przekonanie, że da się porozumieć, kiedy obie strony naprawdę tego chcą.

Swój pobyt w Rumunii wspominam także jako czas używania niemieckiego, bo zaprzyjaźniłam się z lektorami z Niemiec i Austrii. Konwersacje zaś po polsku odbywałam z polską lekarką z Bukowiny, która za mężem przeniosła się do Klużu i zachowała cudowną wersję polszczyzny przedwojennej, wzbogaconej o naleciałości rumuńskie („Niech pani siada, a ja zaraz pani oczka przyłagodzę” – witała mnie, zapowiadając w ten sposób przygotowanie jajek sadzonych.). W Klużu spotkałam też Mihaelę, która była wcześniej lektorką rumuńskiego w Krakowie, gdzie pokochała polski i nauczyła się nim wyśmienicie posługiwać. Świadomość, że blisko jest ktoś, z kim można porozmawiać w języku ojczystym, kto rozumie, co to znaczy być daleko od domu i kto swoją sympatię dla Polski rozciąga także na mnie, to była wielka przyjemność.

Po dwóch latach wróciłam do Polski i do uczenia cudzoziemców w Polsce, a w roku 1999 pojechałam na semestr do Niemiec jako lektorka języka polskiego na Katolickim

Uniwersytecie w Eichstätt. Zawodowo nic nowego – małe zainteresowanie kursem polskiego i luksus pracy w małych grupach, a życiowo – ogromne zdziwienie, że Niemcy unikają jak ognia języka niemieckiego w rozmowie z cudzoziemcami i bez znajomości angielskiego trudno się obejść.

Od 2005 r. jestem lektorką języka polskiego na Uniwersytecie Rzymskim „La Sapienza”, gdzie od 90 lat istnieje Katedra Literatury i Języka Polskiego i nauczanie polskiego ma utrwaloną pozycję. Mieszkam i pracuję w kraju, który Polacy darzą sympatią i o którym często myślą jak o miejscu dobrze sobie znanym. Moja praca to przybliżanie Polski tej garstce zainteresowanych, którzy pojawiają się na lektoracie. Moje spotkania towarzyskie to także przybliżanie Polski moim znajomym. Włosi są ciekawi, dużo pytają, ale języka nie chcą się uczyć. Na szczęście włoski dla Polaków nie jest tak niedostępny, w końcu jakiś zysk przynosi łacina z czasów studiów, podobieństwo języków romańskich, łacińskie korzenie dużej części słownictwa polskiego, jakiś kurs włoskiego zaliczony dla rozrywki lata temu. Zaskakuje mnie, że w kraju, w którym język to w gruncie rzeczy jakaś nieskończoność dialektów, Włosi zawsze wylapują obcy akcent. Wystarczy otworzyć usta i już wiedzą, że mają do czynienia z osobą spoza obszaru wszelkich dialektów włoskich. Rozmowa z Włochami nie daje więc poczucia, że zakończyłam naukę włoskiego, raczej przekonanie, że jest jeszcze dużo do zrobienia i że przydałby się powrót do podręcznika, na kurs, do szkoły po prostu.

Życie bywa nieprzewidywalne, nie da się przygotować na wszystkie jego niespodzianki, ale cieszę się, że znalazłam jednak oparcie w swoim szkolnym „posagu” językowym.